

„O miłości, która zrodziła się w złym miejscu i w złym czasie – legenda o Ludwiku Tasiemskim”

Ze względu na różne państwa, pod których władaniem na przestrzeni lat była ziemia polkowicka, na kartach historii miasta zapisali się ludzie wielu narodowości. Polacy, Czesi, Austriacy, Niemcy... wszyscy żyli obok siebie we względnym spokoju, starając się nie wchodzić sobie w drogę lub też jakimś cudem odnajdując wspólny język. Niestety okres, gdy Polkowice wraz z najbliższą okolicą stanowiły część III Rzeszy zakończył tę sielankę. Rządy faszystów oraz II wojna światowa pozostawiły po sobie świadectwo w postaci niezwykle tragicznej historii miłosnej, która miała miejsce w niewielkiej wsi o nazwie Trzebcz.

Był sierpień 1939 roku, kiedy młody chłopak, Ludwik Tasiemski, zdał sobie sprawę, że nie da się uniknąć kolejnej wojny. Nastroje bojowe wśród innych członków 14 Wielkopolskiej Dywizji Piechoty widać było jak na dłoni. Świętowanie dwudziestych urodzin chłopaka przebiegło w dość ponurej atmosferze. Mimo pysznego ciasta, które upiekła mama i piosenek, które grała na skrzypcach młodsza siostra Ludwik czuł smutek i strach przed opuszczeniem rodzinnego Poznania. Wraz ze starszym bratem Staszkiem, z którym należeli do 14 batalionu saperów, wyruszyli na mobilizację 24 sierpnia, zaledwie cztery dni po urodzinach.

Początkowy strach minął, gdy przyszło chłopakowi stanąć naprzeciw wroga. Obudziła się w nim wtedy odwaga i wola walki o ojczyznę, którą tak bardzo kochał. Ogromne serce, które wszyscy żołnierze włożyli w walkę między innymi w bitwie pod Bzurą niestety nie wystarczyło, by odnieść zwycięstwo. Wielu uczestników bitwy poniosło śmierć z ręki Niemców, na szczęście Ludwik wraz z bratem dotarli szczęśliwie do Warszawy, gdzie wspomogli oddziały walczące w obronie stolicy.

Warszawa skapitulowała 28 września. Tego dnia bracia trafili do niewoli. Był to ostatni dzień, w którym Ludwik widział Staszka, bowiem młodzi żołnierze trafili do dwóch różnych obozów jenieckich.

Warunki w niemieckim Stalagu były niezwykle ciężkie. Wyczerpany walką na froncie Ludwik nieraz myślał o tym, że to już jego ostatnie chwile. Chłopak okazał się jednak nadzwyczaj silny i wytrzymał trudy obozu, w którym spędził prawie dwa miesiące. Pod koniec listopada dowiedział się, że czeka na niego niemiecki transport, który przewiezie go w zupełnie inne miejsce.

Gdy chłopak opuszczał obóz, wyobrażał sobie najgorsze scenariusze. „Z pewnością mnie rozstrzelają, gdzieś w ciemnym lesie. Nigdy już nie zobaczę rodziny, a oni nie dowiedzą

się, gdzie spoczywa moje ciało” myślał, gdy wraz z innymi jeńcami byli przewożeni w najróżniejsze miejsca.

Całkowicie wycieńczony i głodny Ludwik stracił poczucie czasu, podróżując niemieckim transportem. Być może minął jeden dzień, ale równie dobrze mogły być to cztery dni. W tym czasie większość polskich pasażerów opuściła już ciężarówkę, która zatrzymywała się w kilkunastu miejscach. Na sam koniec, wraz z Ludwikiem, pozostało dwóch polskich jeńców. „Jesteśmy ostatni, z pewnością trafimy do najgorszego miejsca” szeptali między sobą. Niektórzy po cichu odmawiali modlitwy. W końcu nadszedł czas, by również oni opuścili ciężarówkę.

Żołnierze niemieccy wyprowadzili trzech Polaków przed całkiem duże gospodarstwo. Był chłodny, lecz słoneczny listopadowy dzień, więc po długim czasie spędzonym w ciemności chłopcy ze zmrużonymi oczami rozglądali się ukradkiem po okolicy. „Jest las, to z pewnością tam nas zabiją i pochowają” pomyślał Ludwik, dostrzegając za gospodarstwem szereg wysokich drzew.

- Dalej, idziemy! – Wrzasnął nagle jeden z żołnierzy i popchnął chłopców w kierunku największego budynku. – Teraz będziecie tutaj pracować, muszę was przekazać gospodarzowi.

Zza domu wyszło kilka osób, z pewnością pracowników gospodarstwa. Jeden z nich, starszy i postawny mężczyzna wyrzucił ręce w górę i zbliżył się do nowo przybyłych.

- Bardzo dobrze, bardzo dobrze! – Zwołał tubalnym głosem. – Przydadzą mi się dodatkowe ręce do pracy, zwłaszcza teraz, gdy część młodzieży walczy na froncie.

Jak się okazało, był to gospodarz - Gustav Koehn. Wskazał jeńcom ławkę przed domem, a sam poszedł rozmówić się z żołnierzami przy ciężarówce.

Gdy Ludwik spoczął i oparł się o ścianę budynku, odetchnął z ulgą i zamknął oczy. „Będziemy tutaj pracować, być może nas nie zabiją. Trzeba tylko słuchać gospodarza i sumiennie wykonywać zadania. No i siedzieć cicho” rozmyślał. Pozostali chłopcy również wyglądali na nieco bardziej rozluźnionych niż jeszcze kilka minut wcześniej.

Herr Koehn szybko załatwił sprawę z żołnierzami. Gdy ci odjeżdżali, wrócił do swoich nowych pracowników, którzy od razu podnieśli się z ławki. Zlustrował ich wzrokiem i rzekł swym donośnym głosem:

- Jesteśmy w Trzebczu, to moje ziemie. Będziecie moimi pracownikami. Dostaniecie jedzenie i miejsce do spania. Nie będę wam płacił, ale nie umrzecie. Potrzebuję was żywych i silnych, bo z martwych nie będzie pożytku. Będziecie robić wszystko, co wam rozkażę - ja, moja żona lub córka. Rozumiecie co mówię?

Młodzi Polacy pokiwali głowami. Gospodarz zmarszczył brwi, westchnął i zabrał swoich nowych pracowników, aby mogli się umyć i zjeść posiłek.

Pierwsze dni w gospodarstwie były dla Ludwika ciężkie, bowiem chłopak był wyczerpany trudami obozu. W dodatku praca na wsi była dla niego czymś zupełnie nowym. Mimo że znał niemiecki, czasem ciężko mu było zrozumieć dokładnie, czego chce od niego Herr Gustav lub też jego żona Hilda. Starał się jednak jak najlepiej wykonywać polecenia, a kiedy starczało mu sił, pracował dłużej niż było w planach. Najczęściej zajmował się zwierzętami, końmi i krowami, których w gospodarstwie było naprawdę dużo. Z pozostałą dwójką polskich żołnierzy widywał się rzadko, ponieważ zostali przydzieleni do innych zadań, spali również w innym pomieszczeniu niż Ludwik.

Chłopak powoli przyzwyczajał się do nowej rzeczywistości, codziennie dziękował w modlitwach, że trafił do gospodarstwa Herr Gustava, a nie do piachu. Podczas pracy rozmyślał często o swoim bracie oraz pozostałych w Poznaniu rodzicach i młodszej siostrze. Czy jeszcze kiedykolwiek dane mu będzie ich zobaczyć? Miał nadzieję, że wojna skończy się szybko. Wtedy być może będzie na to szansa.

Każdego popołudnia, gdy Ludwik przechodził obok domu rodziny Herr Gustava, z wnętrza rozlegała się piękna muzyka skrzypiec lub fletu. Te krótkie momenty pozwalały chłopakowi odpłynąć marzeniami do rodzinnego domu, gdzie siostra próbowała swoich sił w grze na skrzypcach. W Poznaniu muzyka czasem denerwowała go, ponieważ nie mógł się skupić na wykonywanych czynnościach. Tutaj jednak było zupełnie inaczej. Ludwik zastanawiał się, kto wykonuje te piękne utwory. Czy jest to żona gospodarza? A może córka, której jeszcze nie widział, bo podobno dochodzi do zdrowia po chorobie. Albo też ktoś z mieszkańców, o kim jeszcze nie wie. Postanowił, że jeśli pozna tożsamość muzyka, pogratuluje mu ogromnego talentu.

Tydzień po przyjeździe do gospodarstwa Ludwik akurat karmił konie, gdy w drzwiach do stajni stanęła nieznana chłopakowi osoba. Była to młoda, drobna dziewczyna, na oko w jego wieku. Na głowie miała kask jeździecki, spod którego na ramię opadał gruby warkocz w kolorze pszenicy. Spojrzała na Ludwika lekko spłoszona. Zabrała z półki siodło i podeszła do chłopaka.

- Mówisz po niemiecku? – zapytała. Gdy Ludwik skinął głową, kontynuowała. – Jestem Jana, córka Gustava. Wyprowadzisz mi konia? Tego na końcu, ma na imię Róża – wskazała kasztanową klacz, po czym skrepowana wyszła ze stajni.

Ludwik stał przez chwilę oniemiały, jednak po chwili oprzytomniał i zabrał się za przygotowanie konia. Wyprowadził go przed stajnię, gdzie dziewczyna ledwo słyszalnie podziękowała i zabrała się za siodłanie klaczy.

- Może pomogę? – zaproponował chłopak i podszedł do Jany od tyłu.

- Nie trzeba, poradzę sobie – wyszeptała dziewczyna i rzuciła chłopakowi przelotne spojrzenie.

Tym razem skrępowany Ludwik spuścił wzrok. „Ma takie piękne błękitne oczy” pomyślał, po czym zganił się. „To przecież Niemka, córka gospodarza, nie mogę tak na nią patrzeć”. Szybko wrócił do przerwanych zajęć w stajni. Nie omieszkał jednak wyjrzeć przez drzwi na dziewczynę, która powoli oddalała się w stronę lasu na grzbiecie swojego wierzchowca.

Przez kolejne półtorej godziny, podczas których zdążył posprzątać koniom boksy, Ludwik cały czas myślał o pięknej córce gospodarza. Był pewny, że to ona tak wspaniale gra każdego popołudnia, bowiem podczas jej nieobecności z wnętrza domu nie dobiegała żadna muzyka. Gdy dziewczyna wróciła do stajni, chłopak dostrzegł na jej twarzy najwspanialszy uśmiech, jaki kiedykolwiek widział. Jana szybko oporządziła klacz po przejażdżce, po czym zaproponowała, że pomoże przyprowadzić do stajni konie, które pasły się na pobliskiej łące. Po drodze chłopak podpytał ją o niemieckie słowa związane z końmi i pracą w stajni, których nie znał. Dziewczyna odpowiadała nieco chętniej niż wcześniej. Gdy wracali, sama nawet zadała Ludwikowi kilka pytań. Między innymi o imię, bo chłopak zupełnie zapomniał się wcześniej przedstawić.

- Ludwig, to tak jak Beethoven – rzekła cicho. – Uwielbiam muzykę klasyczną – dodała po chwili.

- Bardzo pięknie grasz – wyznał jej Ludwik. – Masz naprawdę wielki talent.

Zdziwiona dziewczyna spojrzała na chłopaka i zapytała:

- Skąd wiesz, że to ja grałam?

- Wiedziałem to od razu, gdy Ciebie zobaczyłem – wyszeptał chłopak, po czym spuścił wzrok i już więcej się nie odezwał.

Jak się później okazało, do obowiązków Jany w gospodarstwie należała praca w stajni. Dziewczyna przejęła większość zadań wykonywanych w poprzednim tygodniu przez Ludwika. Młody Polak spędzał więc teraz czas głównie w oborze, jednak Frau Hilda nakazała mu pomagać córce w najcięższych pracach. Chłopak był wdzięczny losowi za chwile, które mógł spędzić w towarzystwie złotowłosej Niemki oraz te, podczas których dane mu było słuchać jej hipnotyzującej gry na instrumentach. Podczas wspólnej pracy coraz śmielej

rozmawiali, oczywiście jedynie w momencie, gdy nikt nie mógł ich usłyszeć. Jana opowiadała trochę o sobie, jednak chętniej mówiła o gospodarstwie, albo uczyła Ludwika nowych słów po niemiecku. Jak się okazało dwudziestoletnia dziewczyna dwa lata wcześniej wyjechała do Drezna, by uczyć się w szkole muzycznej. Do rodzinnego gospodarstwa wróciła, gdy zaczęła się wojna i większość pracowników, których zatrudniał Herr Gustav, trafiła na front. Ludwik nie zdradzał dużo o sobie, wspominał, że uwielbia czytać książki, a w przyszłości chciałby zostać nauczycielem w szkole. Mimo tego, że chłopak wciąż ganił siebie w myślach, nie mógł powstrzymać faktu, iż z dnia na dzień coraz bardziej zakochiwał się w córce gospodarza.

W pewien chłodny marcowy wieczór do niewielkiego pomieszczenia w budynku gospodarczym, w którym spał Ludwik, przyszła Jana. Z początku chłopak przestraszył się, że ktoś odkryje wizytę dziewczyny. Ta jednak uspokoiła go, ponieważ przyszła z polecenia matki i przyniosła Ludwikowi aspirynę. Frau Hilda zauważyła, że chłopak musiał doznać jakiejś kontuzji podczas pracy, bo przez pół dnia chodził zgarbiony. Ludwik podziękował, bo rzeczywiście od samego ranka dokuczał mu ból pleców, jednak nie wspominał o niczym gospodarzom. Okazało się, że oprócz leku Jana miała ze sobą także książkę, zeszyt oraz pióro.

- To książka po polsku, znalazłam ją kiedyś na strychu – rzekła, podając Ludwikowi „Faraona” Bolesława Prusa. – Jeśli chcesz, to napisz list do swojej rodziny. Idę w tym tygodniu wysłać swoje listy na pocztę, więc mogłabym wziąć także twój. Na osobnej kartce napisz adres. I pamiętaj, żebyś uważał na to, co piszesz – dodała patrząc na chłopaka z ciepłym uśmiechem.

Ludwik nie wiedział co powiedzieć. Podziękował niezdarnie, a gdy dziewczyna odwróciła się w stronę wyjścia, wstał szybko z posłania i pocałował ją w policzek. Jana spojrzała na niego, po czym delikatnie dotknęła ręką jego policzka i życzyła dobrej nocy. Wyszła z pomieszczenia, zostawiając chłopaka z książką przyciśniętą do piersi, w której serce biło nadzwyczaj mocno.

Wizyta Jany i list do rodziny w Poznaniu, który dziewczyna wysłała kilka dni później, uświadomiły Ludwikowi, że córka gospodarzy również zaczęła darzyć go uczuciem. Ten fakt z jednej strony uskrzydlał chłopaka, z drugiej jednak sprawiał, że obawiał się o swoją przyszłość. Jeśli zażyłe kontakty między polskim jeńcem, a niemiecką dziewczyną wyjdą na jaw, z pewnością przyniosą obojgu przykre konsekwencje. „Chwile, które mogę spędzić przy niej to dla mnie jedyne szczęście, które mam tutaj, z dala od domu” myślał. „Wolałbym zginąć, będąc szczęśliwym z miłości, niż zginąć w smutku i samotności. Przecież zawsze

istnieje prawdopodobieństwo, że Niemcy i tak mnie zabiją”. Choć chłopak obawiał się o Janę to pragnienie kontaktu z dziewczyną zwyciężyło.

Podczas kolejnych miesięcy wypełnionych ciężką pracą w gospodarstwie Ludwik potajemnie spotykał się z córką gospodarzy nawet kilka razy w miesiącu. Czasem spotkania te trwały jedynie parę minut, jednak zdarzało się, że spędzali razem prawie pół godziny, albo i dłużej. W zeszycie, który przyniosła mu Jana, młody Polak starał się pisać dla niej wiersze, które czytał jej później z bijącym mocno sercem. Dziewczyna zaczęła grać na skrzypcach w ogrodzie, skąd chłopak o wiele lepiej słyszał dźwięki pięknej muzyki. Pewnego wieczoru pod koniec września, gdy państwo Koehn wyjechali z gospodarstwa na kilka dni, Jana spędziła całą noc w pokoju Ludwika.

- Wiesz, że jeśli ktokolwiek dowie się o naszych spotkaniach, to ojciec prawdopodobnie Cię zabije? – Zapytała dziewczyna z troską w oczach, gdy leżeli na posłaniu.

- Wiem. Ale moja miłość do Ciebie jest silniejsza od strachu przed śmiercią. To tak jak walka na froncie – wyznał chłopak i mocno objął Janę, całując ją w czoło.

Dziewczyna rozplakała się i postanowiła zdradzić przed chłopakiem fakt, który ukrywała odkąd się poznali. Ponad dwa lata temu, przed wyjazdem do Drezna, Jana poślubiła Maxa, starszego o kilka lat syna znajomych rodziców, który mieszkał właśnie w Dreźnie. To z nim mieszkała, gdy uczęszczała do szkoły muzycznej. Do rodziców wróciła, bo mąż, żołnierz Wehrmachtu, trafił na front w Rosji. Przyjazd do Trzebnicy wyszedł Janie na dobre, na wsi zawsze czuła się wolna i niezależna. Ponadto Max, pomimo swojego uroku osobistego, okazał się człowiekiem zimnym i bezwzględny. Jana nie kochała swojego męża, momentami wręcz brzydziła się nim. Zdarzało się, że bywała przez niego obrażana i bita.

Ludwik słuchał dziewczyny z zapartym tchem i łzami w oczach. Cały czas głaskał ją po głowie i mocno przytulał.

- Wiem, że tego chcesz, ja również. Nie możemy się jednak spotykać, bo prawdopodobnie zginiemy oboje. Gdy Max się dowie... wolę nie myśleć co się wtedy stanie - łkała cicho Jana. – Kocham Cię Ludwiku, nigdy nie pokocham nikogo bardziej.

Po wyznaniu Jany Ludwik z ciężkim sercem postanowił zastosować się do tego, co powiedziała mu dziewczyna. Coraz mniej czasu spędzał w jej towarzystwie w stajni, a gdy już doszło do spotkania nie odzywali się do siebie praktycznie w ogóle, jedynie wymieniali tęskne spojrzenia. W przeciągu dwóch miesięcy zakochani spotkali się jedynie dwa razy, za każdym razem tylko na kilka minut. Starali się zachować jak największą ostrożność, jednak w pewien grudniowy dzień całe starania okazały się pójść na marne.

Ludwik akurat doił krowy w oborze, kiedy usłyszał przeraźliwe krzyki i płacz dochodzące z podwórza. Miał złe przeczucia, ale postanowił nie przerywać pracy. Gdy właściciele głosów zaczęli zbliżać się do obory, chłopak rozpoznał wrzaski Herr Gustava i zawołanie Jany. Serce podeszło mu do gardła, chciał od razu pobiec do swojej ukochanej, jednak postanowił, że rozsądniej będzie udawać skupionego na swoim zadaniu.

Ojciec wpadł do obory, ciągnąc córkę za włosy. Dziewczyna, z twarzą czerwoną od płaczu i całkowicie zepsutym warkoczem, wyglądała jak uosobienie nieszczęścia. Herr Gustav ryknął na Ludwika, który natychmiast wstał i spojrzał na kawałek papieru, który mężczyzna trzymał w ręce. Był to jeden z wierszy, który chłopak napisał kilka miesięcy wcześniej. „Jakim cudem trafił w ręce gospodarza?” zastanawiał się gorączkowo.

- Nie próbuj zaprzeczać. Wiem łajdaku, że Ty to napisałeś. Rozpoznałem charakter pisma. I wiem, że napisałeś to do niej – wskazał palcem wciąż płaczącą Janę. – Spotykaliście się, przyznaj się! Kochasz ją, musieliście się spotykać. Wiesz, że ona ma męża? Jak tylko się o was dowie, to Cię zabije. A jeśli się nie przyznasz to najpierw zabije ją! – wrzasnęła i pociągnęła Janę za warkocz tak mocno, że dziewczyna upadła na ziemię.

Przestraszony i zupełnie zrozpaczony Ludwik nie wiedział co zrobić. Dojrzał błagalne spojrzenie Jany. „Jeśli będę milczeć zabiją moją ukochaną. Jak się przyznam to może tylko ja zginę” myślał pospiesznie, o tym co mógłby powiedzieć gospodarzowi.

- Tak, Herr Gustav, kocham pana córkę. Pracowaliśmy razem, więc oczywiste, że się spotykaliśmy. Pisałem do niej wiersze, bo nie mogłem inaczej wyrazić swojej miłości. Ale ja nic dla niej nie znaczyłem. Nie róbcie jej krzywdy, niczemu nie zawiniła – powiedział z ogromnym strachem w głosie i sercu chłopak.

- Ty parszywa polska świnió! – wrzasnął gospodarz. Nie zdążył powiedzieć więcej, bo wtrąciła się jego córka.

- Dość tego, tatku! Zróbcie z nami, co chcecie. Kocham tego chłopaka. Całym moim sercem, którym nigdy ani trochę nie pokochałam Maxa. I nie pokocham, bo mój mąż jest najgorszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek poznałam. Szkoda, że Rosjanie jeszcze go nie zabili.

Po tych słowach Herr Gustav wymierzył córce siarczysty policzek, zostawił ją płaczącą na ziemi, a Ludwika pociągnął za rękę i zamknął na klucz w ciemnym pomieszczeniu w budynku gospodarczym.

Następnego dnia chłopak został aresztowany przez Gestapo i umieszczony w areszcie. Wiedział, że to koniec. Płakał tak długo, aż nie był w stanie wylać kolejnych łez. Walił pięściami w drzwi niewielkiego pomieszczenia. Modlił się, żeby nic złego nie stało się Janie.

Oddałby wszystko, żeby jego ukochana była cała i zdrowa, a ojciec opamiętał się i nie robił krzywdy córce.

Rozprawa, na której skazano Ludwika na śmierć odbyła się bardzo szybko. Następnie chłopak został przewieziony z powrotem do Trzebcza. Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy wysiadał w pobliżu lasu, gdzie zgromadzono pokaźny tłum ludzi. Przełknął ślinę świadomy, co się za chwilę stanie. Herr Gustav wręczył chłopakowi łopatę i kazał wykopać grób we wskazanym miejscu. Z drżącymi rękoma skazaniec zaczął kopać, ukradkiem spoglądając na zgromadzonych ludzi. Na samym przodzie stała Jana, po której policzkach płynęły ogromne łzy. „Dlaczego ona musi na to patrzeć?” lamentował w myślach chłopak.

Kiedy grób był już wystarczająco głęboki, gospodarz zaprowadził Ludwika do wysokiego dębu, na którego gałęzi zawieszono drut kolczasty. Chłopak na miękkich nogach wszedł na podstawione krzesło. Gdy poczuł na swojej szyi drut, rzucił ostatnie spojrzenie na ukochaną dziewczynę, która wpatrywała się w niego z rozpaczą. „Dziękuję Ci za to, że mogłem poznać czym jest prawdziwa miłość. Kochałem Cię od samego początku i nigdy nie przestanę” pomyślał. Na sam koniec dojrzał jeszcze, że obie ręce dziewczyny spoczęły na jej brzuchu, lecz nie zdążył już pomyśleć, czy ten gest oznaczał coś konkretnego, bo pętla z drutu kolczastego zacisnęła się na jego szyi.

4 grudnia 1940 roku, patrząc na śmierć polskiego żołnierza, którego obdarzyła ogromnym uczuciem, Jana miała pustkę w sercu. „Dlaczego ten świat jest taki okrutny, że zabija się ludzi z powodu miłości? Och Ludwiku, gdyby tylko przyszło nam żyć w innych czasach! Nigdy o Tobie nie zapomnę. Noszę teraz w sobie cząstkę ciebie” pomyślała i dotknęła rękoma brzucha. Nie zdążyła wyznać swojemu ukochanemu, że spodziewa się dziecka.

Niestety wściekłość ojca i męża była zbyt wielka. Jana za swój romans z Ludwikiem została wysłana do obozu koncentracyjnego w Dachau. Wyczerpana ciężką pracą dziewczyna zmarła w czasie długiego porodu. Przed śmiercią poprosiła zaprzyjaźnioną pielęgniarkę, aby nadała jej dziecku imię Ludwig i zrobiła wszystko, aby synek przeżył. Kobieta spełniła prośbę Jany i zabrała dziecko z obozu. Chłopiec trafił do dobrej niemieckiej rodziny, nigdy jednak nie dowiedział się, kim byli jego rodzice, ani jak wielki dramat rozegrał się na polkowickiej ziemi.